Świat według Malczewskiej

gazetka szkolna II LO im. H. Malczewskiej w Zawierciu

Nr 7/2014/2015

Kolejny numer gazetki szkolnej już przed Wami. W czasie tej krótkiej przerwy od nauki (egzaminy maturalne!), jaką macie właśnie przed sobą, życzymy przyjemnej lektury.

Skład redakcji:

Anna Drabek 2E

Aleksandra Heljak 1B

Anna Lewandowska 2A

Aleksandra Picheta 2A

Piotr Rogoń 1B

Mateusz Włodarczyk 2E

Opiekunowie:

mgr Ewa Nosol

mgr Beata Milejska

W tym numerze polecamy:

1. Z PIÓREM DOOKOŁA ŚWIATA "Takie rzeczy tylko w Rosji"

2. WIERZENIA SŁOWIAN "Domowik - opiekun domowego ogniska"

3. CO W TRAWIE PISZCZY "Kocham Cię, ale w tej chwili nie lubię"

4. RECENZJE Joanna Chmielewska Wszystko czerwone

5. OPOWIADANIE "Szalone życie Laury cz. 7"

6. BIBLIOTEKA SUBKULTUR "Tradycjonaliści - żywy antyk"

Z PIÓREM DOOKOŁA ŚWIATA Anna Drabek

"Takie rzeczy tylko w Rosji!"

Mówiąc słowo „Rosja" przed oczami mamy parę rzeczy: słynne dywany na ścianach, czapki – uszatki i niedźwiedzie spacerujące po ulicach. A przynajmniej większość z nas ma. Ta ze stałym dostępem do Internetu. Wspominając o naszym sąsiedzie, grzechem byłoby nie wspomnieć o nieludzkich ilościach wypijanej wódki, po których zwyczajny człowiek już dawno wylądowałby na OIOM - ie, a które wprawiają Rosjanina jedynie w stan lekkiego rozweselenia.Jak jednak rysuje się prawda? I przede wszystkim – po co im te dywany na ścianach (bo przecież to najbardziej wszystkich interesuje)?

Rzekome „dywany" na ścianach w domach Rosyjskich dziś pojawiają się tam niezwykle rzadko. Niestety, ale wchodząc do domu Rosjanina, nie doświadczymy przyjemności, żeby ten element wyposażenia zobaczyć zamiast na podłodze, przytwierdzony do ściany. Jest to rzecz występująca raczej w domach nieco starszych mieszkańców i najprawdopodobniej służyła ona zarówno jako ozdoba, jak i do ocieplania ścian. Dziś za to jest to element zwyczajnie sentymentalny.

Nie da się ukryć, że Rosjanie mają pewne zamiłowanie do alkoholu, na dodatek idące w parze z dość wysoką na niego odpornością. Prowadzi to do tego, że według statystyk przeciętny Rosjanin rocznie wypija 401 czystego spirytusu. Czyli o niebo więcej, niż jest to zalecane przez lekarzy. Ale, jak widać, nasi sąsiedzi mają się całkiem nieźle i tylko czasem dochodzą słuchy o śmierci z przedawkowania alkoholu. Znacznie rzadziej, niż można by się spodziewać. Zatem wyjeżdżając do Rosji chociażby w celach rekreacyjnych, warto się pilnować i dwa razy się zastanowić, zanim rdzenny mieszkaniec zaproponuje nam drobny wypad z alkoholem w tle, bo po przebudzeniu będzie pozostawało nam się tylko modlić, żebyśmy nadal mieli na sobie to samo ubranie, co wcześniej (albo w ogóle jakiekolwiek ubranie) i znajdowali się w tym samym mieście. Co z kolei tyczy się samych Rosjan i ich sposobu bycia na co dzień, jednym z dość charakterystycznych elementów jest fakt, że bardzo niechętnie podejmują oni temat pracy. Rozmawiając z nimi można także zauważyć kolejną rzecz - nie przywiązują oni zbyt wielkiej uwagi do zwrotów grzecznościowych. Usłyszenie zwrotu „proszę" albo „dziękuję" jest rzadkością i jeśli ktokolwiek pomyślał, że w Polsce trudno o kulturę, powinien wyjechać do Rosji i przeprowadzić jedną rozmowę z tamtejszym mieszkańcem. I przy okazji nabawić się lekkiego szoku kulturowego.

Co również jest w nich specyficzne, zarówno młodzież, jak i ludzie dość starsi w rozmowach internetowych nadużywają emotikon. A mówiąc „nadużywają" mam na myśli fakt, że istnieje ryzyko dostania oczopląsu, gdy spośród uśmiechniętych paszcz, całusków i przypadkowych zlepków znaków interpunkcyjnych, próbuje się odnaleźć zakodowaną wiadomość.

Przejdźmy jednak do części równie ważnej, co społeczeństwo – do kuchni. A jest ona w pewnym stopniu podobna do polskiej. W Rosji jada się bliny, czyli placuszki z drożdżowego ciasta, które najczęściej podaje się z dość intensywnymi dodatkami, takimi jak wędzony łosoś, czy kawior. Również tradycyjną potrawą jest strogonow, zupa gulaszowa, a także kulebiak, który jednak zalicza sie zarówno do dań rosyjskich, jak i polskich. Jada się go w postaci pieczonego, drożdżowego pieroga wypełnionego farszem, który przypomina bigos. Rosjanie królują także w różnego rodzaju kiszonkach robionych z warzyw, grzybów, czy owoców, będącymi dodatkami do mięs.

Z taką kuchnią Polak nie wyjdzie od Rosjanina głodny. Co do samego całokształtu tego narodu, pozostaje dać mi jedną, ważną przestrogę.

Nigdy, ale to przenigdy nie pij z Rosjaninem.

WIERZENIA SŁOWIAN Aleksandra Picheta

"Domowik – opiekun domowego ogniska"

Domowoj jest jedną z najważniejszych postaci w mitologii rosyjskiej. W naszym kraju był znany pod innymi imionami: Domowik lub Uboże. Jednak nikt nigdy nie nazwał go tak wprost. Zawsze mówiono o nim gospodarz lub staruszek. Jego zadaniem była opieka nad domostwem oraz podległym mu gospodarstwem. Miał zapewniać spokojne życie i zdrowie dla całej rodziny.

W rosyjskiej mitologii utożsamiany był z nieżyjącym członkiem rodziny, który w ten sposób odpokutowuje swoje grzechy. Według Ukraińców Domowik został stworzony przez jednego z bogów; każdy dom miał swojego duszka. Najczęściej był wyobrażany, jako mały staruszek z dużą brodą, zawsze elegancko ubrany, ale gotowy wziąć się do pracy w każdej chwili. Mógł też mieć postać bardziej dziką i straszną. Długa broda, przepaska na biodrach, nieobecny wzrok to również obraz spotykany w słowiańskiej kulturze. Domowik może mieć też swoją towarzyszkę – Domowichę nazywaną także Kikimorą.

Mieszkańcy gospodarstwa chcieli utrzymywać z nim jak najlepsze stosunki. Z tego powodu często nakładane dla niego jedzenie stawiano na stole obok innych. W rosyjskiej mitologii powinno się to robić każdego dnia. Naromiasr w staropolskiej tylko w czwartki. Jeśli Domowik polubił rodzinę sprawiał, że dom stawał się czystszy, jaśniejszy oraz spokojniejszy, strzegł go, rozwiązywał problemy, troszczył się o zwierzęta. Nikt nie miał problemu ze znalezieniem zgubionych rzeczy, a ubrania były zawsze czyste i złożone. Jednak nie lubił, kiedy domownicy się kłócili. Mógł wtedy strącać z półek chleb, obrazy czy kwiaty, potrafił przypalić potrawy lub sprawiał, że przetwory się psuły.

Przez Domowika ludzie mogli mieć kontakt z innym światem. Jeśli ktoś miał umrzeć w domu drzwi mogły trzaskać albo coś mogło stukać w ściany. Duch dawał też znać o nadejściu dziecka. Domowik miał także dar przewidywania i zazwyczaj chciał poinformować swoich gospodarzy o złych wydarzeniach, jakie będą mieć miejsce. Miał nawyk duszenia ich podczas snu. Jeśli podczas zasypiania czujemy, że coś naciska na naszą klatkę piersiową i nie odpuszcza – to zapewne duch naszego domu.

Jeśli rodzina przenosiła się do innego miejsca zamieszkania, mogła zapytać Domowika czy chce iść z nimi. Takie pytanie wyrażało szacunek do niego. Oprócz tego trzeba było zrobić zakwas i wymieszać go z mąką. Wtedy opiekun naszego domu w formie z wyrośniętym ciastem zabierał się do nowego domu, gdzie wypiekało się nowy chleb i częstowało nim duszka.

CO W TRAWIE PISZCZY Anna Lewandowska

Kocham Cię, ale w tej chwili nie lubię

Na świecie istnieje wiele religii. Wyznawcy miłują swoich bogów, jednak zdarza się, że „przestają ich lubić", gdy nie zgadzają się z niektórymi zasadami czy obowiązkami wiążącymi się z byciem wierzącym.

Ludzie od wieków czczą bóstwa, poczynając od żywiołów, a kończąc na współczesnych wiarach - chrześcijańskiej czy muzułmańskiej. Potrzeba miłowania kogoś jest w każdym z nas, to właśnie w wierze szukamy pocieszenia, w modlitwach nie wstydzimy się prosić o wybaczenie, mając nadzieję, że sumienie przestanie nam doskwierać i znajdziemy w końcu spokój ducha.
Wszystko to wydaje się bardzo proste, lecz w rzeczywistości bycie gorliwym wyznawcą którejś wiary, zobowiązuje.
Modlitwa, post czy spowiedź to dla niektórych nie lada wyzwanie. Godzina spędzona na porannej mszy to duże wyrzeczenie dla śpiochów, wieczorne wyjście do kościoła w zamian za wyjście z kumplami?
Na domiar tego, samo wypełnianie obowiązków to nie wszystko!

Nie raz się zdarza, że księża, popowie czy pastorzy mówią o rzeczach, z którymi się nie zgadzamy. Poruszają drażliwe tematy, szczególnie dla młodych ludzi. Zdarza się, że nie potrafimy, a nawet nie chcemy zrozumieć niektórych zakazów, nakazów czy praw, a wtedy zaczynamy się zastanawiać:

„Po co nam to? Czy wiara ma jakiś sens?"

Coraz więcej młodzieży twierdzi, że w nic nie wierzy, jednak według naukowców każdy z nas ma w sobie tzw. "The God Gene" (Boży gen). Psychiatra Robert Cloninger mawiał:

„Każdego dnia więcej osób modli się i medytuje, niż uprawia seks. I to wystarczy, by ludzka duchowość znalazła się w orbicie zainteresowania nauki"

Prowadził on wspólne badania razem z dr. Deanem Hamerem, amerykańskim genetykiem, którego przez lata frapował fenomen duchowości człowieka. Uczony analizował życie świętych, rozmawiał z ludźmi z rożnych środowisk: studentami teologii, medytującymi mnichami, a także zakonnicami spędzającymi dni na modlitwie. Przez wiele lat prowadził badania psychiki oraz genów ludzi o różnym stopniu uduchowienia. Doktor był przekonany, iż wiara w istnienie istoty potężniejszej od nas ma podłoże biologiczne - jest podstawowym ludzkim instynktem.

Po wielu eksperymentach, nieudanych próbach, ku zaskoczeniu naukowców oraz teologów doktor Hamerem odkrył kombinację substancji chemicznych, w których może być zakodowana tajemnica naszej wiary. VMAT2, czyli w skrócie „Boży gen" występuje w ludzkich organizmach.
Każdy człowiek w coś wierzy - w miłość, dobro, w drugiego człowieka. To wiara uczy nas pokory i cierpliwości, czasami to ona jest podstawą naszej moralności.

"Nie zabijaj, nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa" **- czyż to nie mądre przykazania?**

Gdy więc zaczniemy zastanawiać się nad tym, jak bardzo nie podoba nam się to, co usłyszeliśmy dzisiaj podczas kazania, przypomnijmy sobie, jakie dobro czerpiemy z wyznawanej przez siebie wiary.
Nie rzucajmy czegoś tylko z powodu braku zrozumienia, lenistwa czy chęci zrobienia na złość rodzicom czy dziadkom, ponieważ może to właśnie dzięki wierze, kiedy zgubimy drogę, będziemy umieli się odnaleźć. Może właśnie wiara pomoże na przetrwać ciężki okres w naszym życiu i pomoże zrozumieć zło, które dzieje się wokół nas.

RECENZJA

Aleksandra Heljak

Joanna Chmielewska
Wszystko czerwone

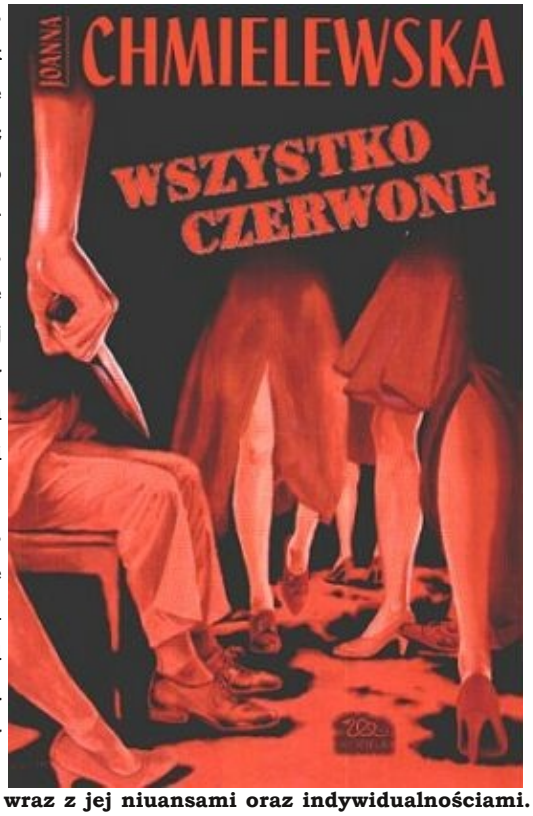

Główną bohaterką powieści jest Joanna - amator-detektyw, która przyjeżdża do Allerod (w Danii), gdzie mieszka jej przyjaciółka Alicja. Kobieta ma nadzieję spędzić tam spokojne wakacje, jednakże nie będzie jej dane tego doświadczyć bowiem gdziekolwiek protagonistka się pojawi, tam natychmiast zaczynają mieć miejsce przeróżne przestępstwa. Dom Alicji pełen jest zapowiedzianych bądź niezapowiedzianych gości, a jego właścicielka jest wyjątkowo roztargniona. Gdy koszmar z czerwoną lampą w tle osiąga swoje apogeum - dochodzi do morderstwa. Celem nieznanego zabójcy jest właśnie Alicja, której za każdym razem nie udaje mu się pochwycić. Zamiast niej ciągle trafia na kogoś z gości przebywających w jej domu. W rozwikłaniu tej pokręconej i oryginalnej zagadki pomoże kobietom sympatyczny miejscowy policjant - pan Muldgaard. Czy nieznanemu mordercy w końcu uda się dorwać Alicję? Czy może jednak zostanie pochwycony, dzięki nietypowym umiejętnościom detektywistycznym Joanny?

Wszystko czerwone odznacza się charakterystycznymi, nieobliczalnymi postaciami, które na długo zapadają w pamięć, a szalone pomysły dotyczące intryg oraz jeszcze bardziej wariackie sposoby na ich rozwiązanie wprost nie pozwalają czytelnikowi na chwilę oderwać się od powieści. Dodatkowym atutem książki są niebanalne sformułowania pana Muldgaarda bawiące do łez oraz na stałe wrośnięte w mój prywatny idiolekt. Specyficzny język, którym została napisana powieść pokazuje, że Joanna Chmielewska jest mistrzynią w dokumentowaniu mowy potocznej wraz z jej niuansami oraz indywidualnościami. W powieści nie brakuje również wartkiej akcji i trupów.

Książka nie jest typowym kryminałem. Nazwałbym ją raczej komedią kryminalną, która jest idealna na wieczór po ciężkim albo nieudanym dniu. Z pewnością spędzenie kilku godzin z tą powieścią nie będzie straconym czasem, szczególnie biorąc pod uwagę przezabawne fragmenty, takie jak ten:

Pan Muldgaard sprawiał wrażenie człowieka, który cierpliwie zniesie wszystko.

- Dlaczego same nogi? - spytał. - A reszta kadłuba nie?

- Nie - odpowiedział pośpiesznie Paweł. - Na nogach była lampa, a reszta kadłuba była w ciemno

OPOWIADANIE Aleksandra Picheta

"Szalone życie Laury cz. 7"

Dzisiejszy dzień będzie najbardziej stresującym z ostatnich tygodni. Przez dziesięć miesięcy nabijałam mózg wiedzą o stworzeniach, których mogłabym spodziewać się w koszmarach. Wiem, jak je rozpoznać i unicestwić. Nadal pamiętam słowa Wencela: „Dowiesz się teraz o sprawach, jakich nikt nie chciałby nigdy znać". Facet miał rację w stu procentach. Te wszystkie rysunki, fotografie oraz filmy śniły mi się po nocach. Budziłam się wtedy zlana potem i automatycznie przypominałam sobie ogrom informacji o potworze z urojeń. Można powiedzieć, że w całości zastosowałam się do nakazu Jelskiej. Popołudniami ćwiczyłam umiejętności. Teraz udaje mi się przenieść rzecz wagi dorosłego mężczyzny. W połowie roku szkolnego odwiedził nas wysłannik Agencji, aby zweryfikować moją moc. Był typowym urzędnikiem w idealnie dobranym garniturze, z aktówką w ręku i kamienną twarzą. Nie polubiłam go.

Jeśli kiedykolwiek myśleliście, że sprawdzian teoretyczny odbywa się tylko w jakiejś sali, budynku szkoły lub czymś podobnym to jesteście w błędzie. Mój egzaminator czekał na mnie w jednym z wielu barów w mieście. Dziwne miejsce, prawda? Uczyłam się, w jaki sposób zabić wampira, a będę o tym opowiadać w publicznym miejscu. Nie, wcale mnie to nie szokuje.

Bar, jeśli można to tak nazwać, mieścił się w ślepej uliczce w jednej z gorszych części miasta. Bardzo pedagogiczne ze strony nauczycieli posyłać w takie miejsca młodą dziewczynę, prawda? Lokal z zewnątrz sprawiał nawet dobre wrażenie. Czyste okna i prosta witryna zapraszająca potencjalnych klientów. Weszłam do środka z pozytywnymi myślami. Oczy wszystkich gości zwróciły się ku mojej osobie, kiedy przekroczyłam próg. Było tam na tyle jasno, że mogłam zobaczyć twarz dowolnego człowieka. Mężczyźni z dużymi brodami, kobiety z dekoltami prawie do pępka, starzy i młodzi – każdy z nich patrzył na mnie złowrogo. W kącie pomieszczenia zobaczyłam Bielaka, Chmielnickiego i faceta, który wcześniej weryfikował moją moc. Wyglądało na to, że też będzie mnie sprawdzał. Powstrzymałam się od westchnięcia. Przecisnęłam się między stolikami.

– Dzień dobry – powiedziałam na wstępie.

– Dzień dobry – odpowiedział Bielak z egzaminatorem. Chmielnicki tylko skinął głową. Ten gość pasował do tej dzielnicy bardziej, niż ktokolwiek inny znajdujący się w tym lokalu.

– To my pójdziemy do baru – powiedział historyk zwalniając mi miejsce. Skorzystałam z tego.

Usiadłam naprzeciwko egzaminatora i dopiero teraz mogłam mu się bliżej przyjrzeć. Miał pociągłą twarz, kozią bródkę, a na haczykowatym nosie nosił prostokątne okulary. Z pewną dozą ciekawości patrzyły na mnie ciemnobrązowe oczy. Miałam wrażenie, że skądś je znam. Ale skąd?

– Zaczynamy? – zapytałam po kilku minutach milczenia.

– Tak, oczywiście – odpowiedział z uśmiechem. Otworzył leżący przed nim notes i uniósł go tak, abym nie widziała stron. – W tym pomieszczeniu są trzy nieludzkie istoty. Wskaż mi je.

Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent moje oczy powiększyły się do rozmiarów pięciozłotówki. Mam wskazać mu trójkę osób, które w rzeczywistości nimi nie były?

Rozejrzałam się dyskretnie. Na pierwszy rzut oka nikt nie wyglądał jakoś podejrzanie. Jeśli można tak nazwać tłum ludzi, siedzący w barze mieszącym się w najgorszej dzielnicy miasta. Czy ktokolwiek się wyróżniał? A może chodzi o to, aby się nie wyróżniać?

Dwa stoliki przede mną siedział lekko przygarbiony mężczyzna większy od Chmielnickiego (a to już duży wyczyn). Dosłownie prostokątna twarz miała obojętny wyraz, a wzrok wbił w swojego rozmówcę. Czy to możliwe, żeby ten gość nie był człowiekiem? Nie ruszał ręką, dłonią czy palcem. Nawet nie mrugał! Będę strzelać. Po lewej dostrzegłam zwykłą kobietę jedzącą krwisty kawałek mięsa. Czy on w ogóle był usmażony? Nie chciałam mrużyć oczu, ani wyciągać szyi. Jednak jej widelec ociekał jakąś czerwonawą substancją. Przez opiętą bluzkę dostrzegłam wyraźny kształt kręgosłupa. Naprzeciw niej siedział pulchny mężczyzna. Dłubał widelcem w kolejnym już kawałku ciasta, sądząc po ilości talerzyków, uśmiechając się cały czas. Brunetka była widocznie zirytowana jego zachowaniem, ale on nie przejmował się tym. Skupiłam się bardziej wyczuwając nieznaną mi moc. Odwróciłam się. Za mną siedział blondyn z burzą loków i błękitnymi oczami. Posłał mi miły uśmiech, co odwzajemniłam.

– I co? – Wróciłam na swoją dawną pozycję po usłyszeniu głosu egzaminatora.

– Golem, wilkołak i kupidyn – odpowiedziałam. Chciałam, aby mój głos brzmiał pewnie.

– Ale wyczuwasz coś jeszcze, prawda? – Zmieszałam się trochę, ale kiwnęłam głową. – Skąd?

– Blondyn za nami – odparłam, a on coś zanotował.

– Pierwsze zadanie zaliczone – powiedział z uśmiechem. – Teraz powiedz mi wszystko, co wiesz na temat południc.

– Południca to złośliwy demon słowiański. Najczęściej przybiera postać młodej i bardzo atrakcyjnej kobiety. Poluje w samo południe, kiedy temperatury są bardzo wysokie. Czyha głównie na mężczyzn przebywających blisko ich legowisk, które znajdują ją najczęściej przy płytkich potokach. Zdarza się, że południca przybiera postać mężczyzny i wabi nastolatki, aby zabić je i dokonać przemiany. Jeśli w bezwietrzny dzień jakaś część traw lub drzew zaczyna falować, oznacza to, że demon jest gdzieś blisko nas. Podczas jej ataku wystarczy uciec w cień, gdzie nie ma dostępu.

– Tak – wymamrotał robiąc kolejne notatki.

Przez kolejną godzinę zostałam zasypana kolejną porcją pytań. Najczęściej dotyczyły one wierzeń słowiańskich, ale zdarzały się też arabskie oraz żydowskie. Gdzie żyją dżiny? Jak rozpoznać domowika? Czym jest dybuk? To tylko kilka najprostszych. Gdy zawahałam się nad jedną z odpowiedzi, egzaminator przeszedł dalej. Od tamtej pory starałam się mówić od razu po usłyszeniu pytania. Głowa mi pękała, a w ustach prawie czułam drobinki pustynnego piasku, jednak próbowałam nie dać tego po sobie poznać. To, co mnie najbardziej denerwowało i rozpraszało to notes tego faceta. Podczas tych sześćdziesięciu minut zdołał zanotować około dziesięciu stron. Ciekawość rozrywała moje wnętrze. Ale kiedy tylko zerkałam w tamtą stronę, on zamykał notatnik i pytał o kolejną rzecz.

Czując się, jak po maratonie umysłowym, jadłam w ciszy coś, co wyglądało na zupę pomidorową, a smakowało wodą oraz sokiem pomidorowym. Barowa żywność nie jest zdrowa i na pewno niesmaczna. Przyjęłam ten „prezent" od nauczycieli za tamtą mordęgę. Oni teraz siedzieli przy stoliku, rozmawiając o czymś przyciszonymi głosami, a mnie eksmitowali do lady na wysokie stołki. Byłam głodna, więc pochłonęłam tę breję nie zwracając jej od razu. Barmanka patrzyła na mnie z ukosa, a siedzący obok mnie grubas bekał, co chwilę. Też sobie miejsce znaleźli, przemknęło mi przez myśl, widząc dużego robala przebiegającego między szklankami. W pewnym momencie moi towarzysze wstali ze swoich miejsc. Ich roześmiane twarze mówiły mi, że doskwiera im sielankowy nastrój. Ale czy to dobrze dla mnie?

CDN

BIBLIOTEKA SUBKULTUR Mateusz Włodarczyk

Tradycjonaliści – żywy antyk

Tegoroczny kwiecień rozpoczął się dla młodzieży w najprzyjemniejszy z możliwych sposobów - wiosenną przerwą świąteczną. O płynących z tego powodu korzyściach każdy zdaje sobie doskonale sprawę. Jednak nie każdy Polak trudzi się pamiętaniem przyczyny tej parodniowej chwili wytchnienia. Pomimo tego, że statystycznie około 90% mieszkańców naszego kraju to katolicy, wielu z nich zapomina o najważniejszych świętach chrześcijaństwa - Triduum Paschalnym. Z drugiej strony statystyka jest nieprecyzyjna. Oczywiste jest to, że znaczna część to wierni jedynie na papierze - i nie chce obchodzić tych świąt z różnych powodów. Mają do tego prawo i ochoczo z niego korzystają. Na szczęście nudna i sztampowa laickość społeczeństwa polskiego nie jest tematem niniejszego artykułu. Chciałbym natomiast podjąć się trudu opisania w prostych słowach zjawiska, które pojawiło się wśród młodzieży świadomej swojej wiary, która, wbrew stereotypom i usilnym staraniom wielu, istnieje i ma się dobrze. Zjawisko to jest, co prawda, nieco rozproszone, nie posiada też jednej formalnej nazwy, dla ułatwienia będę się zatem posługiwać chyba najpopularniejszą i najwygodniejszą nazwą przezeń używaną - tradycjonalistów łacińskich. Już brzmienie tej nazwy jest tak przestarzałe i sztywne, że aż czuć kurz, unoszący się w powietrzu przy jej wymawianiu. Odruch jest co prawda mylny, postaram się wyjaśniać na bieżąco wszystkie skomplikowane i fachowe nazwy. Najpierw jednak należy się zająć sprawą najważniejszą, tym mianowicie, kim są owi spowici w antyczny kurz tradycjonaliści ?

Narodowe Archiwum Cyfrowe, sygn. 37-1664-2

Odpowiedź na to pytanie jest wbrew pozorom prosta. Są to ludzie, zarówna starzy jak i młodzi, z różnych środowisk, miast, krajów, kultur, których łączy pewien znamienny fakt - przywiązanie do Nadzwyczajnej Formy Rytu Rzymskiego - pod którą to skomplikowaną nazwą skrywa się najzwyklejsza katolicka Msza, ale w bardziej klasycznym wydaniu, znacznie starszym, niż obecna jej Zwyczajna Forma. Prawdopodobnie znaczna większość czytelników nigdy w życiu nie interesowała się tymi zagadnieniami, nie należy zatem zagłębiać się w szczegóły. Mimo to warto wspomnieć o kilku, najbardziej przykuwających uwagę detalach. Odstawiona niejako do lamusa w latach 70. tzw. Msza trydencka, została "uwolniona" w 2007 r., przez Benedykta XVI. Od tamtego czasu zauważyć można gwałtownie rosnące zainteresowanie nią, szczególnie wśród ludzi młodych. Dobrym przykładem są Stany Zjednoczone, gdzie ilość miejsc zrzeszających ludzi na Mszy Trydneckiej rośnie regularnie, a od 2007 r. do chwili obecnej (2015 r.) wzrosła ponad dwukrotnie. Również w Polsce powstają, szczególnie w dużych miastach, ośrodki zrzeszające tradycjonalistów. Natomiast to, co charakteryzuje i wyróżnia tę formę kultu, to język łaciński, tzw. orientacja ad Deum bogactwo gestów, muzyki, treści, precjozów i paramentów.

Ale jak to - zapyta ktoś w oburzeniu - przecież młodzież nie lubi hokus - pokus pod nosem, patrzenia na księży, a co dopiero na ich plecy, kościelnej nudy, zabobonów i przepychu! Możliwe, że tak, paradoksalnie jednak to najzwyklejsi młodzi ludzie, ci, którzy uczą się w publicznych szkołach, uprawiają przeróżne sporty, zainteresowania, pasje, spotykają się w pubach i klubach na piwie, nie stronią od smartfonów i Internetu, tworzą w wielu miastach trzon środowisk tradycyjnych - mając się przy tym znakomicie. W tym przypadku najbardziej uwydatniają się pewne cechy znamienne u młodzieżowych subkultur, działają one jednak jak gdyby w przeciwnym kierunku. Kiedy subkultury XX w. za cel stawiały sobie zbuntować się przeciw temu, co wzbudzało w nich nienawiść, gniew, antypatie - państwu, instytucjom, rodzicom, nauczycielom, religiom, to młodzi tradycjonaliści owszem, twardo buntują się, ale przeciw wszelkim buntom. Żądają tego, czego chciano się pozbyć, co, zdaniem wielu, odeszło na zawsze do lamusa - wiarę, moralność, honor, patriotyzm i wiele innych "patetycznych" cnót. Wznoszą na piedestały zrzucone przez ojców pamiątki po swoich dziadkach. Żyją pełnią życia, zarówno przeszłych pokoleń, jak i otaczającej ich teraźniejszości i wszystkiego, co ze sobą niosą.

Wydaje się to wszystko nierealne i zaskakujące, z tym jednak różnicą, że dzieje się naprawdę, pośród nas. Zjawisko, które znajduje sobie ujście nie tylko przez szczelinę zwaną tradycjonalizmem, jednocześnie niespodziewane i możliwe do przewidzenia, gdyż świat już od dwóch tysięcy lat posiada tę niezwykłą cechę, że gdy ludzie postawią go na głowie, on potrafi w najmniej spodziewanym dla nich momencie fiknąć kozła i wrócić na odpowiednie miejsce.